

## DWA MUZYCZNE SPEKTAKLE

Tekst: Artur Stański

**13 sierpnia 1991 roku** - Stadion Śląski w Chorzowie. Polską odsłonę festiwalu **Monsters of Rock** słuchało i oglądało 70 tys. fanów, wśród nich ja z kolegą, po długiej drodze z Poznania starym mini morrisem (tuż po zakupie, stan techniczny nie najlepszy – już sama jazda była przeżyciem, ale czego się nie robi dla spełnienia marzeń?). Na długo przed otwarciem bram próba techniczna – uderzenie pałeczek, siła dźwięku i artykulacja zwalają z nóg. Początek koncertu przynosi rozczarowanie: **Queensrÿche** to nie moje klimaty, nagłośnienie pozostawia wiele do życzenia. Na szczęście grająca po nich **Metallica** porywa publiczność, dźwięk o klasę lepszy. Ale i tak czekam na gwiazdę wieczoru.

W czasach PRL-u ukazywał się magazyn „RAZEM”, który jedni kupowali dla roznegliżowanych panienek, a inni dla artykułów poświęconych legendom rocka. Jeden z nich poświęcony był AC/DC - autor dzielił się z czytelnikami na temat koncertu (jeszcze z Bonem Scottem), w którym miał szczęście uczestniczyć. Energia i zwierzęca siła muzyków, którzy dawali z siebie absolutnie wszystko podczas występów uwznioślało ich muzykę. W czasach, w których marzeniem była oryginalna płyta zagranicznych wykonawców koncert w Polsce uznanej gwiazdy wydawał się nawet nie marzeniem, a zwyczajnym majaczeniem szaleńca. Owszem, zdarzały się pojedyncze koncerty, ale na ogół przebrzmiałych wykonawców. A tu taka niespodzianka – możliwość zweryfikowania oczami i uszami tego o czym się czytało i czego się tak bardzo pragnęło. Zachodnie gwiazdy zachwyciły się polską publicznością – to, co w cywilizowanym świecie było normalne i zwyczajne dla nas było świętem.

Ale wróćmy do koncertu – wielkie widowisko poparte doskonałym przygotowaniem technicznym. Czegoś takiego dotychczas w Polsce nie było, co wpływa na ocenę, dochodzi do tego wartość sentymalna, której nie sposób zweryfikować. Wizualnie widziałem później jeszcze lepsze koncerty, ale jakość dźwięku (nie tylko samo nagłośnienie i natężenie) pozostaje dla mnie po dziś dzień punktem odniesienia. Szalejący na perkusji Chris Slade, jakże różniący się od Phila Rudda, niezawodny Angus Young i przypominający zdartą płytę głos Briana Johnsona wraz z pozostałą parą gitarzystów kipieli energią. Aż trudno uwierzyć skąd czerpali siły, skoro po drugiej stronie estrady trudno było wchłonąć taką porcję pozytywnej energii. W tym aspekcie do dziś muzycy AC/DC są nie do pobicia, a nieubłagany czas zdaje się nie mieć nad nimi żadnej mocy. To był ponad dwugodzinny koncert zespołu będącego wówczas w szczytowej formie. Noc w ciasnym samochodziku w okolicach stadionu i opustaszałe nazajutrz miejsce wielkiego wydarzenia w niczym nie przypominającego atmosfery poprzedniego dnia. Kilka lat później w magazynie „Tylko Rock” w artykule poświęconym AC/DC zamieszczono opinię, iż nikt na świecie nie potrafi w jednej frazie wyrazić tyle emocji i treści co Angus Young. Jeden ze znajomych skomentował – muzyka prymitywów tworzona dla prymitywów. Cóż, rzecz gustu.

Nie tylko rockiem człowiek żyje. Dążąc do dobrego dźwięku w domu większość z nas zniechęcona kiepskimi realizacjami płyt zaczęła się interesować innymi gatunkami muzycznymi, jazz i klasyka na ogół są wydawane z większą dbałością o jakość dźwięku. Moim ulubionym wykonawcą jest John Coltrane, którego z oczywistych względów nie

miałem okazji posłuchać na żywo. Ale w 2005 roku w poznańskim klubie Blue Note uczestniczyłem w koncercie jego syna. Ravi co prawda do dziś nie osiągnął takiej pozycji jak jego ojciec, ale talentu mu nie brakuje, Zmieniły się czasy – lata 60. ubiegłego wieku były dla rozwoju muzyki przełomowe, Z jednej strony entuzjazm i wielkie ambicje, z drugiej ekstatyczne zachowanie odbiorców i przede wszystkim chęć stworzenia czegoś wyjątkowego. Współczesny świat nastawiony na zysk oferuje co prawda wielkie koncerty (coraz bardziej do siebie podobne), ale będące czysto komercyjnym produktem. Dlatego występy na luzie w małych salach są tak cenne.

W intymnej atmosferze przy nawiązaniu kontaktu z publicznością Ravi wraz zespołem dał blisko trzy godzinny koncert (z długą przerwą). Zamiast gwiazdorskich zapędów zaserwował esencję muzyki o dużym ładunku emocjonalnym z długimi solówkami, z których słychać jego ojciec. Słuchanie i kontemplowanie skomplikowanych harmonicznie fraz po dziś dzień wywołuje dreszcz emocji. Nie grał dla siebie (jak to czyni np. Kenny Garrett), nie był posągowy jak Wayne Shorter, ale nawiązywał kontakt z publicznością. Im dłużej trwał koncert, im lepsza gorętsza atmosfera w klubie, tym więcej dawał z siebie. I ostatni bis, gdy sala już prawie opustoszała, a muzycy z radością zegnali się publicznością. Tych skrzących się saksofonów nigdy nie zapomnę. Taka więc między przeszłością a terażniejszością jest kwintesencją życia i sztuki. Nikt nie żyje w oderwaniu a umiejętność czerpania z dorobku minionych pokoleń stanowi o naszym człowieczeństwie.